

zanik wszelkich sił żywotnych i moralnych. Lekarze nakazali mu bardzo surowy system życia, nie pozwalając na żadne czynności i wysiłki, mogące do reszty zabić jego wątły i sterany organizm.

Bankier de Bressien żył tylko teraz przeżywaniem swojej strasznej katastrofy, widząc jasno bliski swój koniec. W banku załatwiono wszystkie dawne sprawy depozytowe, a nowe nie napływały już wcale. Upadek kopalni złota przyczynił się ostatecznie do ruiny majątkowej i braku zaufania do firmy banku.

Baron de Bressien siedział w swoim gabinecie zatopiony w przykrych rozmyślaniach, kiedy ukazała się Sydonia.

— A jesteś, kochanko! — zawołał bankier — Czy masz dla mnie jakie dobre wiadomości? A hrabia Henryk? Może powraca do Paryża, nie wiesz? Może napisał do ciebie, z wytłomaczeniem swojego postępowania? Już czas wielki, ażeby się to wszystko zakończyło i żebym zaczął naprawiać zło poczynione. Wszystko pójdzie na zatracenie.

— Możesz więc zaczynać, ojczu.

— Co ty mówisz Sydonio? Drażnisz się ze mną?

— Wcale nie.

— No to mów! Jest co nowego?

— Nie wzruszaj się tak ojczu, bo zaszkodziś sobie.

— Pewnie nowe nieszczęście! Czytam to z twojej twarzy.

— Jest złe i dobre, a przedewszystkiem mogą być pieniądze.

— To jest najgłówniejsze. W kasie formalne pustki. Myślałem właśnie nad tem, jak załatwić rachunki przy końcu miesiąca.

— Przynoszę ci to załatwione.

— Nie żartujesz, kochanko?

— Nie mam czasu na to. Ale musisz obiecać, że wysłuchasz mnie spokojnie. Wiesz, co ci powiedzieli lekarze?

— Sami nie wiedzą, co mówią. Każą mi zaniedbać wszystkie moje interesa. Lepiej niech mnie od razu pochowają.

— Musisz jednak oszczędzać swoje siły, inaczej pogniwam się i nie powiem ani słówka.

Uśmiechając się serdecznie, Sydonia usiadła na poręczy fotelu ojca i pogłaskała go po twarzy.

— Obiecuję już wszystko, co chcesz — rzekł pokornie baron, patrząc z miłością na nią.

— Tak, to dobrze. Słuchaj ojczu, powiedz mi szczerze, czy jeszcze ciągle zależy ci tak bardzo na małżeństwie mojem z Henrykiem de Kermor?

— Czy mi zależy? Przecież to było twoje najgorętsze pragnienie. Zakochałaś się w nim do szaleństwa.

— Tak, byłam, ale to się tak długo wlekło, że przeszło! Już dosyć mam tego! Oni drwią sobie po prostu z nas.

— Co ty znowu kombinujesz, Sydonio? Chcesz zniszczyć wszystkie nasze plany przyszłości?

— Chodzi ci o firmę banku „Bressien Kermor”? O klientelę z arystokratycznej dzielnicy? Czyż można zawsze liczyć na tych ludzi? Zastanów się tylko, ojczu, trochę. Markiz na swoją rękę operuje finansowo. On i jego przyjaciele grali na zwykłą na kopalnianych akcyach i wygrali.

— Właśnie mnie o tem poinformowano. Sprzedali w dobrej dla siebie chwili. Tembardziej są mi więc potrzebni. Mogę ich znowu łatwo obkubać.

— Nie licz na to. Nasze znaczenie i akcje spadły, a oni są gotowi całkiem nas opuścić. Lepiej uprzedzić ich, a temsamem korzyści sytuacji my zbierać będziemy.

— Porzucić wszystko, wycofać się! Ty chyba na seryo o tem nie myślisz!

— Przeciwnie. Powiem ci nawet, że zerwałam całkiem z rodziną Kermorów i posłałam im nasze rachunki.

— Kermorom? To szaleństwo!

— Posłałam markizie, tak musiałam zrobić. Ty nie wiesz o niczem, biedny ojczu. Markiz nietylko wygrał na giełdzie, ale i z Afryki czeka go szczęście. Hrabia Henryk wynalazł jakiegoś miliardera dla swojego kolonialnego przedsięwzięcia.

— Miliardera? To rzadkie okazy. Jak się nazywa?

— Allan, „król żelaza”. Zuśz go?

Bankier powstał nagle i osłupiałym wzrokiem spojrział na córkę.

— Allan? Ten z „Towarzystwa Allan?”, Król żelaza?

— We własnej osobie! To nietylko żelazny król! To król złota, ze stalowym organizmem i umysłem!

— To istna fatalność! — wyszeptał de Bressien, bezwładnie opadając na fotel — Allan! ten człowiek już oddawna nie powinien chodzić po świecie. Oto już lat dwanaście, jak drzę na samą myśl spotkania się z nim oko w oko... Unikam go, chronię się przed nim, jak przed widmem, tak, tak! To widmo z prze-

szłości. Człowiek, który nie wiem jaką siłą chodzi jeszcze po świecie. On jeszcze straszniejszy dla mnie, jak tamten, wiesz, tamten, co to nagle pojawił się znowu!...

Bankier rozpaczliwym ruchem pochwycił się za głowę i dyszał ciężko, patrząc przed siebie oczami pełnymi zgrozy i lęku.

— Uspokój się, ojczu! — szeptała Sydonia — Pamiętałam tamtego. Z tym załatwię się sama. Zrobię tak, jak ty zrobiłeś ojczu!

— Nie wąż się! Szalona jesteś! Nikt nie walczy z Allanem, nikt nie ośmiela się wchodzić mu w drogę...

— To są słowa! Wielkie napozór słowa! Ten człowiek będzie taki sam, jak inny, wobec wymierzonej do niego lufy rewolwerowej! Co mnie jego potęga obchodzi? Kula nie pyta, kogo zabija. Geniusza, czy głupca. Właśnie przygotowuje dla niego ładną zabawkę.

— Ty ośmieliłaś się pomyśleć o tem, ty Sydonio?

— Ja! Wszystko już nawet zorganizowałam! Rzecz tak, jak zrobiona. Niema nad czem debatować więcej!

— Niechże się więc wypełni przeznaczenie! — wyrzekł ciężko bankier. — Przerazasz mnie, Sydonio, a jednak podziwiać cię muszę. Jakto? Więc ty znałaś tę okropną tajemnicę, wiedziałaś o tym mięczu Damoklesa, wiszącym nad moją głową?!

— Nie! i nie pytam cię nawet o to, ojczu! To do rzeczy nie należy. Ale wiedziałam, dowiedziałam się właśnie, że ten Allan Amerykanin jest Bretończykiem i nazywa się Allan le Brenn! Że jest wujem Janiny, dawnej robotnicy u markizy de Kermor i że ta dziewczyna zostanie jego jedyną spadkobierczynią. I to jeszcze, że zbierał skrzętnie wszelkie dowody jej niewinności, naszego współnictwa z Delrue i że Janina poślubi wkrótce Henryka de Kermor, który tam, w Afryce, wzbogacił się, jak tutaj w Paryżu jego ojciec! Oto to wiem, ojczu! i dlatego postanowiłam działać na swoją rękę.

— To okropne! — zawołał bankier! — Co robić? Mój Boże! to już ostateczna katastrofa!

— Co robić? — powtórzyła Sydonia z groźnem postanowieniem w głosie. — Powiedziałeś już, ojczu! Trzeba żeby ten człowiek zginął, trzeba, żeby to widmo, męczące ciebie i mnie, na zawsze zginęło z powierzchni świata. Musimy odpędzić od siebie tę ostatnią, niebezpieczną zmore!

— Staraj się nie zetknąć się z nim nigdy! Gdyby tak cię poznał! Sydonio! pamiętaj! ryzykujesz wiele!

— Więc on mnie zna?

— Zanim! Dzieckiem będąc, bawiłaś się na jego kolanach!

— Ach! to wspomnienie mi powraca! Masz słusność ojczu! muszę być ostrożna! Ale on mnie nie poznał! Jestem tego pewna.

— Widziałaś go więc?

— Przed dwoma godzinami może. To on zmusił mnie do zerwania z rodziną Kermorów i posłania jej rachunku. Postąpił ze mną, jak dziki człowiek. Tak samo my z nim postąpimy.

Bankier powstał i poruszył dzwonek o telefon. Kiedy oddzwoniono rzucił szybki, donośny rozkaz:

— Niema mnie w domu dla nikogo! A jeżeliby kto przyszedł z polecenia pana Allana, by załatwić rachunek markiza de Kermor...

— Właśnie załatwiają go — brzmiała odpowiedź z kanonu.

— Jakto? Kto? Nikt mnie nie uprzedził!

— Z Banku! z polecenia markizy!

Bankier odetchnął z widoczną ulgą.

— No! — westchnął. — Niemałego kłopotu mi napędzili. Na szczęście Allan sam nie przyszedł!

Po chwili odezwał się, zamyślony.

— Rozkaz markizy! Skąd wzięła taką sumę! On w tem jest niezawodnie. Tylko on jeden jest w stanie uprościć sytuację jednym pociągnięciem piora! Żeby się tylko nie domyślił nigdy, że to ja jestem!

— Bądź spokojny, ojczu! Nie pozostawię mn wiele czasu do tego odkrycia!

— Szatan chyba podaje ci rady. Ale dlaczego nie chcesz pomówić ze mną otwarcie, Sydonio! Co ty obmyśliłaś i z kim? Przecież mi powiedzieć możesz. Choć chory jestem, jednak zdolny jestem jeszcze poradzić ci dobrze.

Ostrożnie, dobierając słów, aby nie wywołać wzruszenia, szkodliwego dla ojca, Sydonia opowiedziała mu całą scenę w pałacyku markizy de Kermor i rozmowę, która następnie miała miejsce w gabinecie Andrzeja Delrue. Kiedy wspomniła o nowych swoich projektach małżeńskich, bankier poruszył się gorączkowo na fotelu i ciężko oddychać zaczął. Nie, to nie był zięć, o którym marzył.

Ale Sydonia uspokoiła go stopniowo, wyluszczaając dokładnie całą sprawę.

— Widzisz ojczu — kończyła — że zorganizowałam wszystko, jak należy. Jedziemy dziś wieczór.

— Jedziecie? Gdzie?

— Na początek do Bretanii, a potem na zakończenie do Afryki, o ile Allan połączy się tam z Kermorami.

— W podróży zamiar twój da się bezpieczniejszym skutecznie. Ale bądź ostrożna, córeczko, zaklinam cię. Ciebie mam tylko jedną, Sydonio, ty jedna jesteś moją pociechą w tem nieszczęściu, które spadło na mnie.

Długo jeszcze rozmawiała Sydonia z ojcem, a kiedy go w końcu pożegnała, bankier ożywiony nadzieją, uśmiechnął się do nowych planów przyszłości.

Delrue tymczasem ukończył pisanie testamentu Allana i wyszedł kupić rewolwer. Następnie kupił bilety do pospiesznego wieczorowego pociągu i podążył na dworzec. Stał przed zamówionym przedziałem i oczekiwał na nadejście Sydoni. Przedtem jeszcze zaopatrzył się w różne wiktuały i wino, nie zapominając o kwiatach dla niej. Przecież była już jego narzeczoną, a wkrótce stanie się jego niepodzielną własnością.

Ale po jakimś czasie niepokój lekki ogarnął Andrzeja Delrue. Sydonia się spóźniała! Czy może zmieniła zdanie w ostatniej chwili? Straciła energię, wtedy, kiedy on czuł w sobie odwagę i moc niebywałą? Oczywiście spóźniała się. Dochodziło już w pół do dziewiątej, za kilka minut pociąg ruszy z dworca. I jak gdyby na większe zniecierpliwienie Andrzeja, jakaś korpulentna kobieta, o czarnych włosach i ciemnej, oliwkowej cerze, stanęła przy drzwiach przedziału, chcąc konieczniesz zająć w nim miejsce.

— Proszę pani — rzekł do niej szorstko Delrue — Czy pani nie widzi, że ten przedział jest specjalnie zarezerwowany, że wisi przy oknie tabliczka z napisem „zajęty”.

Było to prawdą, jednak nie wzruszyło to bynajmniej grubej pani i spokojnie, bez słowa, zajęła miejsce, układając przy sobie różne zawiniątki.

— Nie! tego już za dużo! — zawołał oburzony Delrue — Proszę wysiąść natychmiast! Słyszysz pani! Co? nie rozumie pani francuskiego języka?

Kreolka roześmiała się szeroko, pokazując rząd białych zębów.

— Nie jesteś bardzo grzeczny, mój Andrzeju, dla swej narzeczonej — zadzwieczał niski, melodyjny głos. — Jeżeli takim będziesz dla tej z Bretanii...

Delrue osłupiał. Poznał głos Sydonii.

— Co? — zawołał — to ty?

— Tak. Ale bez niepotrzebnych demonstracji, mój kochany. Wsiadaj prędko, zatrzaśnij drzwiczki za sobą. Nie po to się przeistoczyłam, żeby mnie tu kto poznał. Powiedz, naprawdę jestem taka zmieniona?

— Nadzwyczajnie! — szepnął Delrue, siadając przy Sydoni i patrząc ciągle jeszcze na nią ze zdziwieniem.

— Wierzę, skoro, ty, zakochany, nie mogłeś poznać. Tem lepiej! O to mi właśnie chodziło! Nawet stalowe oczy Allana nie dostrzegą we mnie Sydonii de Bressien, nieprawdaż?

— Niema obawy! Ale ty chyba czarodziejką jesteś, moja Sydonio?

— Czarodziejstwo moje polega na użyciu trochę szminki czerwonej i brunatnej i kilku kreskach ołówka. Ale przynajmniej ci się, że się duszę pod tem grubym przebraniem.

Uniosła ciemną gaź, zasłaniającą jej twarz i rozpięta płaszcz na piersiach. Ciemne jej oczy, po których przelatywały złote błyski, jaśniały zadowoleniem. W końcu widząc zdziwienie, ciągle jeszcze malujące się w spojrzeniu Delrue, roześmiała się swobodnie.

— Pozwalam ci uściskać swoją narzeczoną, Andrzeju — rzekła pieszczotliwie.

Rozległ się osury, długi gwizd, pociąg ruszył, zagłuszając dalsze jej słowa.

W tym samym czasie Allan le Brenn dojeżdżał już do Bretanii...

Allan w Bretanii.

Dobre wiadomości, wysłane przez Allana, nadeszły do Kermora, zanim jeszcze Allan przybył do Brest.

Od chwili opuszczenia Loango Librewille, wysyłał depeszę za depeszą, przy każdej sposobności, narazie z Tulonu i w przeddzień dojazdu swojego do Paryża.

(Dalszy ciąg nastąpi).